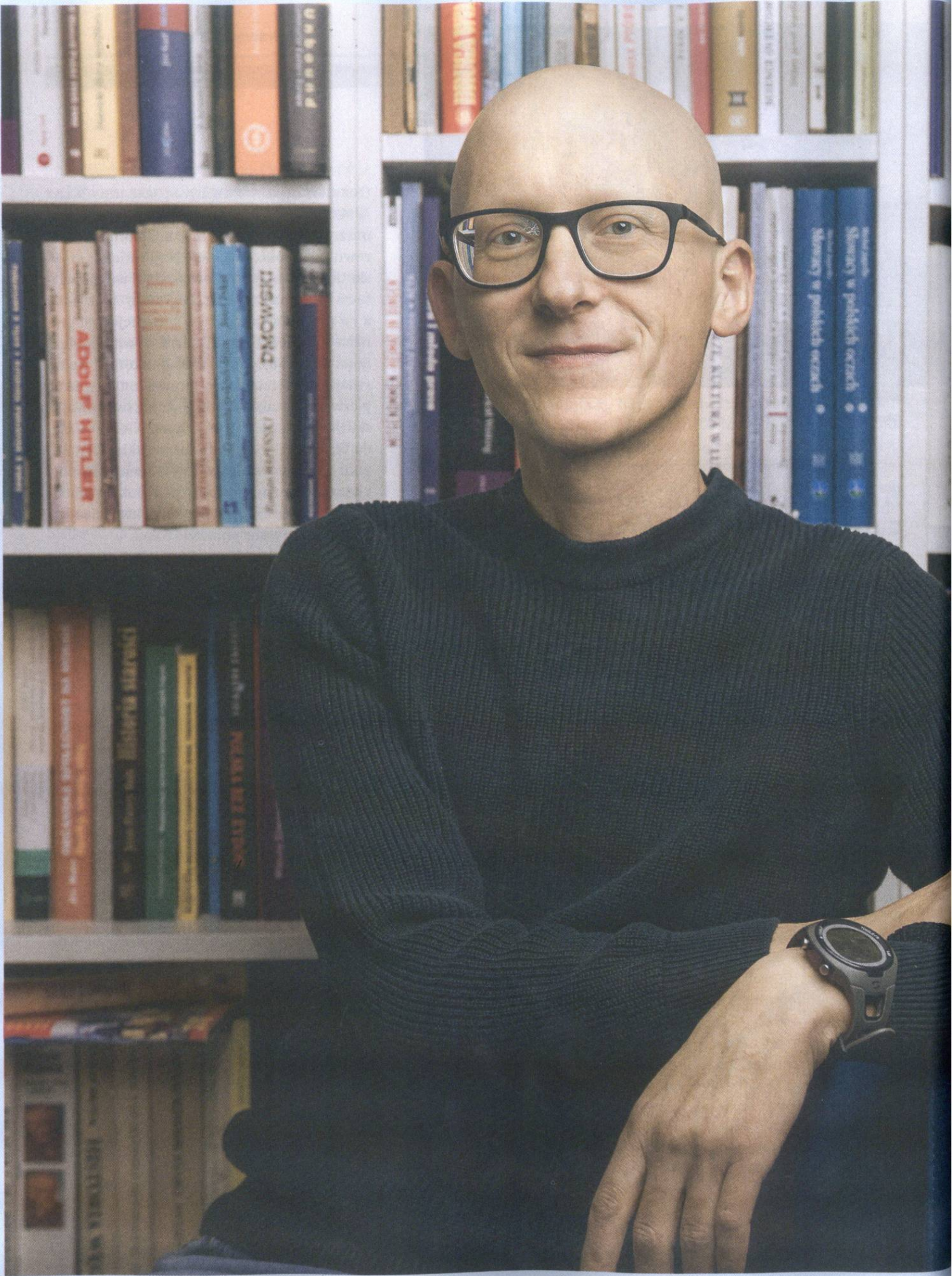




Wyższa prawda i naciąganie faktów

Władza nigdy nie narzuca gotowej narracji. Kilka punktów jest ważnych, a całą resztę gorliwy historyk musi wymyślić sam. Kunszt oportunisty polega na tym, by trafić w gust – mówi dr hab. Maciej Górny

Rozmawia **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

NEWSWEEK HISTORIA: Jerzy Giedroyc twierdził, że tak zakłamej historii jak polska nie ma nigdzie na świecie.

DR HAB. MACIEJ GÓRNY: To jeden z mitów na temat polskiej historii. Jest ona tak samo zmitologizowana i zakłamana jak każda inna. Trudno zresztą uogólniać, łatwiej wskazać na poszczególne części narracji historycznej, które są podrasowane, aby lepiej pasowały. Te drobne przekłamania nie są zresztą nigdy całkowite. Dopiero suma drobnych interwencji składa się na fałsz.

W książce „Polska bez cudów” opisał pan różne retusze, jakim poddawano proces odradzania się Polski w 1918 r. i późniejszą walkę

o granice. Ukazał pan np., że Roman Dmowski sam siebie wykreował na wielkiego gracza w Wersalu, tymczasem o najważniejszych dla Polski sprawach zdecydowano, zanim dano mu dojść do głosu.

– Rzeczywiście, przyczyny i sposób odzyskania przez Polskę niepodległości oraz jej utrwalania wydają się inne od tych, o których uczono nas w szkole. Gdy książka się ukazała, straszono mnie, że dostanę za swoje, ale jak do tej pory jestem cały i zdrowy. Jeśli już, to pewien węgierski czytelnik zwrócił mi uwagę na pewne szczegóły dotyczące Siedmiogrodu, które źle opisałem.

W Polsce natomiast miałem raczej pozytywne reakcje. Znajomy historyk wojskowości ucieszył

się, że wreszcie ktoś napisał wprost, jak wyglądała wojna polsko-bolszewicka. Bohaterstwo szerokich mas i entuzjazm Polaków dla obrony kraju to sprawa naciągana i kontrastuje ze sprawozdawczością wojskową. Armia ponosiła porażkę za porażką na froncie mobilizacji, a najgorzej było na wsi. Uzbrojone grupy chłopów wręcz uciekały za granicę. Wielu autorów woli jednak pisać, jak być powinno – czyli że polski chłop bronił polskiej ziemi. Dzieje się to ze szkodą dla naszej wiedzy i z krzywdą dla tych, którzy realnie z bolszewikami walczyli. To oczywiście nie było wielkie odkrycie, bo historycy o tym wiedzieli, ale o tym nie mówili.

Historycy nie mówią głośno tego, co wiedzą?

– Tak bywa. Jerzy Jedlicki zorganizował w 2002 r. debatę o „Sąsiadach” Jana Tomasza Grossa. Krytykował Grossa za podejście do źródeł, czyli bezkrytyczne zawierzenie relacjom żydowskim. On sam bronił się, że w takich przypadkach należy stępić krytycyzm, bo w relacjach jest raczej mniej powiedziane niż więcej. O ile dobrze pamiętam, prof. Tomasz Szarota twierdził z kolei, że przecież historycy wiedzieli o Jedwabnem i odpowiednie źródła w Żydowskim Instytucie Historycznym były znane. Jedlicki podsumował dyskusję mniej więcej w ten sposób: no właśnie, wszyscy wiedzieliśmy – i co?

Różne są przyczyny tego milczenia, każdy trzeba by rozpatrywać osobno. Czasem jest ignorancja. Prof. Jan Konefał napisał książkę o Legionach na Lubelszczyźnie w czasie I wojny światowej. Wspomina w niej o polskich strażakach z Kraśnika rozstrzelanych w 1914 r. za kolaborację z Austriakami wskutek fałszywej denuncjacji miejscowych Żydów. Donosiciele mieli nieczyste sumienie, bo, jak pisze Konefał, „wkraczających Austriaków chlebem i solą witali”. Ta historia żyje w pamięci



Obchody Święta Żołnierza w Miechowie z okazji rocznicy Bitwy Warszawskiej 1920, 15 sierpnia 1927 r.

lokalnej, obecnie już tylko polskiej. Dokumenty mówią o egzekucjach, ale na kilku członkach żydowskiej społeczności Kraśnika zadenuncjowanych przez miejscowych Polaków. Nikt nie może wiedzieć wszystkiego, ale trzeba przynajmniej spróbować zrozumieć, co się wtedy działo, zamiast utrzymywać wygodną wersję przeszłości.

Historycy nie są osamotnieni.

Pisał pan także o kartografach, antropologach naginających fakty w imię narodowych interesów.

– Albo klasowych, bo dla marksistów punktem odniesienia – przynajmniej w teorii – była klasa. Natomiast na przełomie XIX i XX w., a także teraz rzeczywistość naród to podstawa.

Jak to wyglądało w praktyce?

– Podczas XIX-wiecznego czeskiego odrodzenia narodowego marginalizowano wkład w kulturę Czechów, dla których czeski nie był pierwszym językiem. Arystokracja czeska, która w dużej mierze sfinansowała odrodzenie poprzez objęcie mecenatem artystów, pisarzy, publicystów i historyków, po-

tem została „wygumkowana” z tej opowieści. Ten zabieg nie polegał na ordynarnym fałszowaniu dziejów, po prostu kładziono nacisk na pewne elementy, o innych milczano. W efekcie odrodzenie kulturalne Czech było jakoby jedynie zasługą ludu. Komuniści to tylko podchwycili i zwielokrotnili. Inny przykład: podczas konferencji w Paryżu w 1919 r. aktywni byli liczni geografowie. Byli przekonani, że kartografia i statystyka pozwolą rzetelnie ustalić granice państw. Nie fałszowali map, ale tak interpretowali dane, że zawsze okazywało się, iż ich naród powinien mieć prawo do większego terytorium. Uważali się za uczciwych badaczy i swój nacjonalizm godzili z profesjonalizmem. Twórca polskiej kartografii Eugeniusz Romer, nie fałszując danych liczbowych, uzyskiwał spójny z jego przekonaniami obraz ziem należnych Polakom. Dla sąsiadów Rzeczypospolitej oczywiście nie do przyjęcia.

Nie mieli świadomości, że manipulują? Pan twierdzi, że w przekłamywa-

niu historii najlepiej sprawdzały się fałszerstwa ambitnych historyków.

– Bo, pomijając ignorantów, najczęściej byli to inteligentni ludzie z dobrym warsztatem. Romer był wybitnym kartografem. Intelpekt wręcz pomaga w przekonaniu samego siebie, że jest wiele możliwych interpretacji. Oczywiście często stosuje się brzydkie chwytły świadomie. Jean Luis Armand de Quatrefages de Bréau, znany antropolog, którego teorie legły u podstaw rasizmu i były kamieniem milowym na drodze do zbrodni III Rzeszy, dokonał zwykłego plagiatu pracy Polaka Franciszka Duchinińskiego. Twórczość Armanda de Quatrefages'a była znana, podczas gdy Duchiniński zapomniany. Dużą satysfakcję dało mi odkrycie postępu Francuza.

Czyli „wygumkowanie” Lecha Wałęsy z historii Solidarności albo przemilczanie udziału prof. Bronisława Geremka w naszym wchodzeniu do NATO to nie nowość?

– Bynajmniej. Mediewiści, gdy porównują różne wersje kronik, widzą, kogo „wygumkowano” podczas przepisywania. Jednak takie proste sztuczki nie są wielkim problemem. Większym wydaje mi się to, że część historyków uważa, iż ich zadaniem jest przekazanie pewnej wyższej prawdy i fakty nie mogą im stać na przeszkodzie. Te prawdy mogą być różne. W II RP dominował etos służby dla państwa, więc historycy, także wybitni, nie chcieli Polski stawiać w złym świetle. Znów: nie kłamali, ale patrzyli na przeszłość przez odpowiednie okulary. W III RP z kolei część historyków, i to o prawicowych poglądach, uznała za dobre narzędzie do interpretacji przeszłości teorie postkolonialne. Pozwalało im to przemilczać pewne fakty na temat funkcjonowania Polaków w komunizmie i odpowiednio interpretować rzeczywistość po 1989 r., co w efekcie miało praktyczne polityczne skutki.

Czyli w historiografii także panują określone mody?

– Oczywiście. Historia, tak jak i literatura, z którą jest spokrewniona, ulega modom, jeśli chodzi o tematykę, warsztat czy koncepcje metodologiczne i filozoficzne. Pod koniec XIX w. historycy byli pod wpływem odkryć paleontologów, którzy odtwarzali dinozaury na podstawie kilku kości oraz

”

*Znajomy historyk
wojskowości
ucieszył się,
że wreszcie ktoś
napisał wprost,
jak wyglądała
wojna polsko-
-bolszewicka.
Bohaterstwo
szerokich mas
i entuzjazm
Polaków dla
obrony kraju to
sprawa naciągana*

ogólnej wiedzy o tych zwierzętach i porównaniu ich do innych okazów. W ten sposób, bez wiedzy, jak naprawdę wyglądał dinozaur, rekonstruowano jego szkielet. Michał Bobrzyński pisał, że podobnie można przeszłości nadać sensowny kształt. Potem modna stała się psychologia. W pracach Władysława Konopczyńskiego czy Marcelego Handelsmana na temat metodologii jest dużo odwołań do Wilhelma Wundta i jego teorii psycho-

logicznych wyjaśniających zbiorowe zachowania. Czasem decyduje przypadek. Wspomniana teoria postkolonialna w Polsce pojawiła się za sprawą Ewy Thompson i podchwyciona przez pravicę zaczęła funkcjonować zupełnie inaczej niż w innych krajach.

Gdy pan jako młody historyk, w latach 90. XX w., zajmował się marksistami, wydawało się, że ich miejsce jest na śmietniku dziejów. Co pana skłoniło do badania niemodnej teorii?

– Rzeczywiście, gdy pożyczałem w bibliotece książki na ten temat, byłem nieraz pierwszym czytelnikiem od kilkudziesięciu lat. Wtedy dominował obraz marksistowskiej historiografii jako czegoś narzuconego nam i co, szczęśliwie po 1989 r., z siebie zrzuciliśmy.

Natomiast mnie interesowało, czy marksizm naprawdę przyszedł jedynie z zewnątrz. Otóż tak twierdzić może tylko ktoś, kto nie miał w ręku ówczesnych książek. Są w nich liczne tropy prowadzące w przeszłość wcale nie komunistyczną. Ludzie, którzy wprowadzali marksizm do polskiej historiografii, nie studiowali w Moskwie, lecz zaczynali swe kariery w międzywojennej Polsce. W pracach widać kontynuację wcześniejszych myśli.

Teraz modna jest historia ludowa. Adama Leszczyńskiego spotkała krytyka za tendencyjne podejście do przeszłości.

– Ten nurt przypomina wspomniane teorie postkolonialne. On także ma ambicję zmiany świata, a nie tylko opisywania go. Nie znam wszystkich książek o historii ludowej, ale te, które przeczytałem, mają naddatek polemiczny – są publicystyką, a nie tylko książkami naukowymi. Trochę przeszkadza mi natomiast ich podejście do starszych koleżanek i kolegów. Historia klas nie była ignorowana. Dużo ciekawych rzeczy pojawiło się w latach 50. i 60. XX w. Dziwne, że

współcześni autorzy nie odwołują się do tamtego dorobku.

Może jest skażony ideologią narzucaną przez państwo?

– Nie cały. Historiografia czasów PRL ma wielki dorobek. Wiele ciekawych tematów zostało podjętych właśnie po to, by nie zajmować się tym, co forsowała władza. Nie były to oczywiście tematy dla władzy niebezpieczne, ale przez nią raczej ignorowane.

Każda władza ma tendencję do narzucania badaczom określonych tematów, ale nie w tym widzę największe zagrożenie. Władza nigdy nie narzuca gotowej narracji. Kilka punktów jest ważnych, a całą resztę gorliwy historyk musi wymyślić sam. Kunszt oportunisty polega na tym, by trafić w gust. W czasach marksizmu nietrafienie mogło mieć przykre konsekwencje. Wówczas uważano, że marksistowska interpretacja może być tylko jedna. Gdy zaś pojawiało się ich kilka, historycy walczyli między sobą, by to ich interpretacja była uznana za właściwą.

Dziś same naciski, na przykład, by zajmować się myślą Jana Pawła II, nie są groźne. Groźniejszy jest system, powiedzmy, grantowy. Największe szanse na dofinansowanie mają projekty zakładające interdyscyplinarność i innowacyjność. Projekt badawczy może zostać lepiej oceniony, jeśli ma komponenty cyfrowe, najlepiej w formie wizualizacji przestrzennych. Tyle że wiele tematów z historii nie potrzebuje takich map ani udziału informatyków. W dodatku polska humanistyka wciąż jest niedoinwestowana, jeśli idzie o komputery, więc efekty bywają różne.

System grantowy miał modernizować naukę.

– Raczej podgryza wolność badań. Zwłaszcza w połączeniu z aspiracjami władzy, by narzucać interpretację przeszłości. Historia historiografii jest cykliczna, a więc pewne idee i pomysły wracają. Dziś jesteśmy w podobnej sytuacji jak pod koniec XIX w., gdy mno-

żyły się nacjonalistyczne narracje. Chodzi o to, by historycy realnie mieli inny wybór.

Ale są wolny rynek i fundacje. To nie czyni historyka bardziej wolnym?

– Badanie, które miałyby realnie pchnąć wiedzę do przodu, nie jest kwestią umowy na jedną książkę. Tu chodzi o wieloletnie projekty. Taki mecenat funkcjonował w XIX w. W 1881 r. powstała Kasa im. Józefa Mianowskiego, która popierała naukę. W 1991 r. została reaktywowana. Podobnie w Czechach – gdy František Palac-

”

Historia, tak jak i literatura, z którą jest spokrewniona, ulega modom, jeśli chodzi o tematykę, warsztat czy koncepcje metodologiczne i filozoficzne

ký pisał wielotomowe „Dzieje narodu czeskiego w Czechach i na Morawach”, przez całe lata był utrzymywany przez czeskie organizacje narodowe. Wolny rynek raczej nie stworzy warunków dla takiej pracy. Owszem, samorządy potrafią zamówić monografię, ale to są zlecenia na konkretny produkt – zazwyczaj chodzi o promocję miasta.

Co pana skłoniło do obnażania głupich idei w humanistyce?

– Fascynują mnie idee i to, w jaki sposób wędrują. Lubię szukać dróg, któ-

rymi różne koncepcje trafiają z kraju do kraju, jak promieniom z książek. To, że akurat skupiam się na głupich ideach, a nie pożytecznych, nie świadczy o mnie dobrze, bo to po prostu łatwiejsze. W każdym razie sympatyczniejsi wydają mi się ci, którzy obalają mity, niż ich wytwórcy. Choćby dlatego, że krytyczna historiografia naraża na bycie potępionym przez wspólnotę.

Wspólnota nie lubi niewygodnej prawdy?

– W 1817 r. Václav Hanka rzekomo odkrył średniowieczny poemat w języku czeskim. Było to fałszerstwo, ale ów „Rękopis krółodworski” przyczynił się do odrodzenia narodowego. Naukowcy, którzy kilkadziesiąt lat później twierdzili, że jest to mistyfikacja, byli powszechnie krytykowani i dopiero później przyznano im rację. Wśród demaskatorów był Tomáš Masaryk, któremu chyba trudno odmówić uczucia patriotycznych.

Kilkakrotnie nawiązał pan już do Czechów. Wydawało się, że w kwestii historii trudno im coś zarzucić.

Nie dość, że częściej byli ofiarami, to jeszcze mają dystans do własnej przeszłości.

– To stereotyp. W Czechach, jeśli idzie o historię i politykę, mamy wszystko to, co jest obecne w innych krajach środkowoeuropejskich. Tam też borykają się z zadrami: kolaboracja z Niemcami, udział w Holokauście i Porajmos, wypędzenie Niemców po wojnie i różne postawy po 1948 r. oraz po inwazji w 1968 r. Czeski IPN, czyli Ústav pro studium totalitních režimů, został zdominowany przez historyków, którzy nie mają dystansu ani poczucia humoru wojaka Szwejka. To mniej bogoojczyźniana niż polska wersja nacjonalizmu, ale wcale nie bardziej sympatyczna.

Jak został pan historykiem?

– Już w szkole podstawowej umyśliłem sobie, że będę historykiem.



Lech Wałęsa, przywódca strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, niesiony na ramionach strajkujących stoczniovców, Gdańsk, 30 sierpnia 1980 r.

W domu nie było wielu książek historycznych, ale na początku lat 90. XX w. dość tanio można było uzupełniać księgozbiór w antykwariatach. Czytałem dużo, choć przypadkowo. Paweł Jasienica, Marian Brandys, tzw. seria ceramowska, dużo mediewistyki. Do dziś lubię czytać o średniowieczu.

Pana mistrzami byli na uniwersytecie Włodzimierz Borodziej, zaś w Instytucie Historii PAN Jerzy Jedlicki i Maciej Janowski. Czyba miał pan szczęście?

– Zdecydowanie. Początkowo prof. Borodziej się bałem, bo trzymał studentów na dystans. Uczył nas solidności warsztatowej, to on pierwszy wysłał mnie do archiwum. Mimo wspomnianego dystansu potrafił dbać o swych wychowanków w tym sensie, że nie tylko prowadził ich naukowo, ale też pilnował, by mieli z czego żyć. Dzięki niemu, pisząc doktorat u Macieja Ja-

nowskiego, mogłem znaleźć się jednocześnie na stypendium w Berlinie – we Friedrich-Meinecke-Institut na Freie Universität.

Dwie dekady temu różnica między niemiecką a polską nauką była chyba spora, jeśli chodzi o finanse.

– Pod względem materialnym oczywiście czułem się ubogim krewnym. Ale różnice dotyczyły też innych spraw. W polskiej historiografii po odrzuceniu marksizmu mniejszą wagę przykładano do refleksji nad metodą pracy. Historyk siedzi w archiwum czy bibliotece, pisze artykuł albo książkę, a potem dorabia do tego jakiś wstęp metodologiczny. Natomiast w Niemczech ilość czasu, który doktoranci poświęcali problemom metodologicznym, była wręcz absurdalna. W efekcie, gdy ja kończyłem pracę, oni wciąż dyskutowali, jak podejść do tematu i oczywiście jeszcze długo

do żadnego archiwum nie dotarli. Ale wyszli na ludzi, jeśli można tak powiedzieć o naukowcach.

Wróćmy do Instytutu Historii PAN. Jerzy Jedlicki kierował pracownią dziejów inteligencji, w której pisał pan doktorat u Macieja Janowskiego.

– Obaj historycy to na mojej drodze naukowej postaci najważniejsze. Maciej Janowski ma niesamowitą zdolność interesowania się wszystkim. To on wskazywał mi najważniejsze lektury. Dziś jako dyrektor Instytutu cierpi z powodu bycia poniekąd urzędnikiem, ale wydaje mi się, że jeśli idzie o pracę naukową, ponosi mniejsze straty, niż można było się obawiać.

Jedlicki zaś był niesamowitym człowiekiem, szalenie inspirującym. Wydaje mi się, że tego formatu intelektualisty chyba nie udało mi się potem już spotkać. Miał trudny charakter, ale był w tym demokratyczny. Wszystkich traktował na równi, dzięki czemu nie nabawiłem się naukowego feudalizmu. Miał szerokie grono historyków, których zapraszał także na otwarte zebrania. Przybywali badacze spoza Polski, np. Timothy Snyder. Gdy w rozmowie na jakiś aktualny temat ktoś czegoś nie wiedział, Jedlicki zdziwiony pytał: „Jak to, nie słyszał pan? Cały Nowy Świat o tym mówi”. To mnie śmieszyło, ale potem naprawdę ten Nowy Świat do niego przychodził. **N**

Maciej Górny

doktor habilitowany, profesor Instytutu Historii PAN, pracownik Zakładu Historii Idei i Dziejów Inteligencji w XIX i XX w. Specjalizuje się w dziejach Europy Środkowej i Wschodniej XIX i XX w. oraz historią nauki. Wydał między innymi: „Wielką Wojnę profesorów”, „Polskę bez cudów”, „Historię głupich idei”